

O obrotach sfer historii

Katarzyna Szkaradnik

Twórczość 06/2019

Jeśli spoglądając na firmament, można dostać zawrotu głowy od bezmiaru gwiazdozbiorów, to podobnie jest z *Konstelacjami* Krzysztofa Rudowskiego, nominowanymi do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus 2019”. Wrocławski autor pokusił się o próbę nakreślenia panoramy losów polskiej inteligencji w minionym stuleciu; losów wplecionych, rzecz jasna, w bezlitosne tryby historii. Idea mało oryginalna, istnieje wszak *boom* na sagi rodzinne, dla których „wdzięczne” tło stanowią dramatyczne wydarzenia XX wieku od *Ósmego życia (dla Brilki)* Gruzinki Nino Haratischwili przez *Stulecie Winnych Ałbeny* Grabowskiej po ... *Dracha* Szczepana Twardocha. Ostatni przykład uzmysławia nam, że dawniej linearnie wyobrażane dzieje stają się zbyt porwane i zapętlone, by tradycyjna powieść rzeka o miarowym nurcie mogła je (re)prezentować.

Rudowski nie obawia się jednak karkołomnych wyzwań, nieobce są mu też poszukiwania formalne (starczy przywołać *Rękopis zapodziały w Saragossie* i *Cz@t*). Nie modernistyczne drzewo (genealogiczne) zatem, lecz postmodernistyczne kłacze; nie rozlewna narracja, lecz krótkie scenki, migawki, ułamki zwierciadła pędzącego w oszołomieniu po gościńcu. Odbijają się w nich kolejne postacie powiązane różnorodnymi koligacjami i uczuciami, by po chwili zniknąć i wyłonić się w innym dynamicznym układzie. Nieruchomą Gwiazdą Polarną dla owych wirujących konstelacji pozostaje Maria – kobieta o ogromnym hartie, energiczna i zaradna, a przy tym niespokojny duch, co kieruje ją najpierw do Szkoły Sztuk Pięknych, później na studia chemiczne. Poznajemy ją jako dziedziczkę w majątku, gdzie służy francuska bona i recytuje się Homera po grecku (jakoż odmienny to świat od świata gasterbeiterów z *Powrotu!*), oraz jako narzeczoną równie zanego Józefa. „Sto lat, które mają przed sobą do wspólnego przeżycia, będzie rajem na ziemi” – zapowiada narrator. I tylko dla nas, nie dla zakochanych o symbolicznych imionach, w jego słowach dźwięczy ironia.

Tymczasem po nieboskłonie wokół Marii krążą rozmaici mężczyźni, a historie członków i członkiń zakładanych przez nich rodzin okazują się zdumiewająco skorelowane. Chociaż wichry dziejowe przeganiają ludzi z miejsca na miejsce, „dziwnym zbiegiem okoliczności” ich drogi raz po raz się krzyżują. Małżonkowie odnajdują się po wojnie na zasadzie *deus ex machina*, twarze bliskich zostają rozpoznane na zdjęciach u nowych powinowatych, niegdysiejszą kochankę czy przyjaciela można spotkać na ulicy Londynu albo

Paryża, gimnazjalistka dowiaduje się, że tam, dokąd wyjechała po naukę, jej siostrę wywieziono na roboty przymusowe, ba, po latach odzywają się echa z odległej Hawany. Ale bohaterowie powracają również symbolicznie: ot, znajoma Marii – z sierpem w dłoni w klaserze jej wnuka, a Józef w podobiznie wyrzeźbionej przez zaprzyjaźnionego taternika. Pomimo niewiarygodności takich zrządzeń losu racjonalne poczucie prawdopodobieństwa ustępuje czytelniczej *jouissance*, spowodowanej większą sugestywnością literackiej wizji zagadkowych koincydencji niż naukowego ujęcia przeszłości przez historyków.

Sieć zależności między zawiłymi ludzkimi ścieżkami – dzięki wypreparowaniu ich spośród tysięcy innych – ujawnia się właśnie w owych węzłach, „nieprzypadkowych przypadkach”. Czy jednak historia nie pozostaje punktualistyczna, rozproszona w działaniach konkretnych podmiotów? Synteza możliwa jest tylko jako abstrakcyjna nadbudowa nad miniaturowymi epizodami, dopiero z perspektywy czasu (także czasu lektury) konstytuującymi przeplatające się wątki. Co znamienne, narrator relacjonuje wszystkie sceny w *praesens historicum* – zabieg ten pozwala je uobecnić, ożywić, lecz odrealnia je przez generalizację; na dodatek stosowanie czasu teraźniejszego wydaje się szczególnie obarczone groźbą prawienia komunałów. W połączeniu z niekiedy zawrotnym tempem i przeskakiwaniem całych miesięcy, nieraz lat, wywołuje się w ten sposób wrażenie, jakby przed naszymi oczami przesuwaly się slajdy lub fotografie z rodzinnego albumu.

Tego typu narracja budzi też skojarzenia ze scenariuszem serialu – istotnie, można pogratulować autorowi wręcz "tasiemcowej" wyobraźni fabularnej, zwłaszcza że akcja rozpoczyna się przed Wielką Wojną, a kończy po wstąpieniu Polski do Unii. Mniej lub bardziej wyraźne piętno odciskają zatem na życiorysach postaci „podręcznikowe” wydarzenia spomiędzy tych cezur, m.in. globalne konflikty zbrojne, lądowanie Apolla 11 na Księżycu, tzw. Karnawał „Solidarności”, katastrofa w Czarnobylu, powódź stulecia na Dolnym Śląsku, czy nawet... afera mięsna. Naturalnie, Rudowski wypełnia ten stelaż życiem, ukazuje realia będące zarazem obligatoryjnymi motywami w powieści o XX-wiecznej Polsce: przejmowanie gospodarstw przez Niemców w czasie wojny, upaństwowianie zakładów, procesy polityczne heroldów powojennych zmian, marazm „małej stabilizacji”, rewizje u działaczy opozycji, pozornie złote interesy na nareszcie wolnym rynku. (O samoświadomości twórczej i rozwadze pisarza świadczy ograniczenie się do zasygnalizowania powstania warszawskiego). Część obrazków osadzonych w PRL przywodzi na myśl teksty ze zbioru *Nowele dwukrotne*, ale nie ma tutaj sentymentalnego wzdychania do epoki młodości autora. Narrator przypomina za to, że każdy obywatel musiał na granicy „przejsć procedurę urągającą ludzkiej godności”, a mieszkanie tandetnie urządzone przez wiejską żonę jednego z bohaterów czytelnik sam przeciwstawia wnętrzą i kulturze powszedniej w majątku Marii.

Niemniej, choć natrafimy również na takie komentarze, jak ten dotyczący Wrocławia Anno Domini 1948: „Miasto zwariowało. Jeszcze straszą ruiny [...], a wokół wielkiego

budynku Hali Ludowej trwa festiwal koloru – ostatni kwiatek przed nadchodzącymi latami szarzysty", nasz *cicerone* po historii nie popada w drugą skrajność. Generalnie powstrzymuje się od stanowczych wyroków, nie maluje rzeczywistości dwiema barwami. Podkreśla więc istnienie nauczycieli, którzy uważali, że „Narzuconą ideologię można w inteligentny sposób wykorzystać dla dobrych celów”, nie ukrywa, iż rzekomi partyzanci byli nieraz pospolitymi łotrami, z kolei przedwojenny oficer został „otumaniony oficjalną propagandą” podobnie jak ZMP-owscy aktywiści. Nawiasem mówiąc, wskazuje różne motywacje zwolenników nowych porządków: komunistów z przekonania, karierowiczów i oportunistów, tych, którzy zaufali, gdyż w obliczu śmierci Boga w coś wierzyć trzeba, tych, którzy czuli obowiązek rewanżu. Zdobytcze oraz zbrodnie epoki stalinowskiej stanowią przedmiot dyskusji bohaterów – dyskusji może zbyt papierowej, ale znowu dowodzącej braku uprzedzeń autora. Przecież w każdym ustroju można być człowiekiem albo świnia: krętacz, który wymigał się od roboty konspiracyjnej symulowaną chorobą, za fikcyjne zasługi ma stać na czele jednej z pączkujących po 1989 roku partii.

Godne uznania są owe wysiłki, by złożoności perypetii bohaterów odpowiadała złożoność otaczających warunków. Co prawda, otrzymujemy trochę (niebezstronnych zresztą) truizmów typu: „Świat urządzany jest na nowo. W miejsce rozsądku pojawiają się okólniki, które należy drobiazgowo wypełniać”, lecz Rudowski oddaje głos reprezentantom różnorodnych poglądów. Nawet gdy podnosi – nasuwając się automatycznie w takiej powieści – „sprawę polską”, zajmuje nader wyważone stanowisko. Z *Konstelacji* nie wyłania się idea Bożego igrzyska, nie jesteśmy ani pariasami historii, ani nosicielami misji dziejowej. Skądinąd bohaterowie raczej nie deliberują nad przeznaczeniem Polski, w najlepszym razie starają się działać dla niej praktycznie. Nie ma tu zatem mitologizacji ani pretensji do całego świata, aczkolwiek napotkamy przytyk pod adresem Zachodu, który uśpiony ciepłkiem dobrobytu wypiera z pamięci państwa zza żelaznej kurtyny i dopiero po wprowadzeniu u nas stanu wojennego przypomina sobie o ich istnieniu.

Także Polakom trzeba jednak przypominać – o skomplikowanych relacjach z innymi. Jako przeciwnik szufladkowania autor pokazuje dobrych Niemców, a zarazem wzmiankuje o obozie pracy w Łambinowicach, dokąd po wojnie trafiali właśnie Niemcy (warto by dodać, że również Ślązacy). Akcentuje ponadto lojalność majstra-Ślązaka wobec dawnego pracodawcy po wkroczeniu hitlerowców, niemniej w zdaniu o "przywdzianiu munduru Wehrmachtu" zabrakło wyjaśnienia, że prawdopodobnie nastąpiło ono pod przymusem. Nie tylko też *explicite* narrator przekonuje o immamentnym wpisaniu społeczności żydowskiej w historię Polski, lecz także unaocznia ową przynależność na przykładzie Żyda zmuszonego do opuszczenia kraju w 1968 roku i gasnącego z nostalgii.

Już powyższy przegląd wątków uświadamia nam, jak imponującą menażerię ludzką pomieścił Rudowski w *Konstelacjach* „Jest powstaniec warszawski, lotnik z Dywizjonu 303,

przodownik pracy, który w ciągu kilku tygodni wspiął się na najwyższe szczeble władzy i spadł bardzo nisko. Poeta, który chciał posmakować robotniczego chleba, mądra białogłowa, która z niejednego pieca chleb jadła i zmieniała kochanków jak rękawiczki, jest i partyzant, który zasiedział się nieco w lesie”. Tutaj niespodzianka: to nie protagoniści, tylko „statyści” opowieści zebrani na pewnej budowie, jednak owo wyliczenie dobrze oddaje różnorodność postaci. Rzecz jasna, nie sposób nawet na ponad trzystu sześćdziesięciu stronach namalować głęboki portret psychologiczny każdej z nich, stąd nieraz porzucenie na charakterystyce bezpośredniej, z kolei prawie wszystkie kobiety zlewają się w wyobrażenie kochanki idealnej. Mimo że gros wątków rozwija się na przestrzeni wielu kartek, narrator nie unika braku uzasadnień czyichś kroków, a nawet pośpiesznego naginania fabuły. Przykładowo, jeśli bohaterka wyszła za mąż za innego człowieka niż wybrany dla niej docelowo, należy tę pomyłkę zakomunikować łopatologicznie: „To oczywiście nie było jedyne zagadnienie, w którym się od siebie różnili”

Notabene, przydałaby się wklejka z drzewem genealogicznym, ułatwiająca orientację w parantelach między postaciami. Na szczęście w owym gąszczu pomaga się rozeznaczyć żywa pagina, pełniąc funkcję nagłówek poszczególnych części (acz u dołu strony). Co ciekawe, w tym metatekście zaznaczył Rudowski ironię wobec własnego rozmachu – jeden z końcowych rozdziałików nosi tytuł: „Czy ktoś pamięta o matce Moniki?”. Żartobliwie można by także odnieść do *Konstelacji* refleksję Marii, kontrastującej południowe Karpaty z Tatrami: „Jak kochać coś, co rozrasta się do takich rozmiarów?”. Z większością bohaterów niełatwo się żyć, ale stają się nam bliscy jako pewien portret zwielokrotniony albo odwrotnie: fragmenty mozaiki, lub też jedno i drugie, niczym owe portrety-kolaże złożone z setek innych twarzy. Bez wątplenia czułość żywi wobec nich narrator, podobnie jak wobec wyjątkowych dla nich miejsc, których *genius loci* odślania. Aczkolwiek akcja rozgrywa się od okolic Wilna po Wenecję, centra świata dla Rudowskiego istnieją dwa. „Dla Rudowskiego”, gdyż nie tylko z tej książki autora *Stóp Pana Boga – metafizycznego przewodnika po Tatrach* przebija zachwyt najwyższymi polskimi górami. W Tatry powracają wszyscy protagoniści *Konstelacji* w poszukiwaniu zapomnienia, a może właśnie wspomnień, choć to już „nie jest świat, jaki trwa na dnie niedoskonałej pamięci”. Drugie centrum stanowi Wrocław w dłuższym, plastycznym opisie zdewastowanego przez wojska radzieckie Breslau manifestuje się związek narratora z tym miastem, będącym *locus communis* dużej części bohaterów. Ziemia „odzyskana” staje się ziemią obiecaną, otwierającą niezbadane możliwości.

Młode pokolenie uparcie bowiem pragnie żyć i kochać; nawet po hekatombie wojennej. Jurek zapewnia Anię: „Druga połowa dwudziestego wieku będzie czasem miłości i szczęścia”. Zresztą także starsi próbują od nowa, a niszczycielski żywioł historii, paradoksalnie, sprzyja zmianie tożsamości – ot, nic nie przeszkadza dawnej kurtyzanie zostać opiekunką kresowego erudyty i pisarza. Narrator jednak wlewa w nas nadzieję, by

natychmiast przypomnieć daremności wiary w *happy end*, w spokój i w stabilizację. Przecież – chociaż dzięki czasowi teraźniejszemu mu obserwujemy historię zeszłego stulecia *in statu nascendi* – dobrze wiemy, jak się potoczy. Gdy Maria stwierdza, że doskonalenie się jest w Szkole Sztuk Pięknych ważniejsze niż dzieło, narrator pyta retorycznie: „Ale jakie świadectwo otrzyma w takim razie świat? Świat, który wydaje się areną szalejących demonów, nie zaś arką płynącą ku świetlanej przyszłości. Jeśli patrząc w niebo, można odczuwać „Strach przed bezkresem, który nie jest udziałem człowieka”, to co powiedzieć o bezkresie cierpienia, które jest jego udziałem? Konstelacje niebieskie, ze swymi odwiecznymi trajektoriami, pozostają niewzruszone wobec bólu śmiertelników w ich płynnych konfiguracjach. Wszakże również niektórym postaciom przewroty i katastrofy powszednieją, tak że są przyjmowane nieomal ze stoickim spokojem: „Przyszła po prostu jeszcze jedna zawierucha dziejowa, która musi minąć. Po niej będą zapewne następne i następne”. Refleksja Marii koresponduje ze złowróżbnym szeptem oficera umierającego w czasie Wielkiej Wojny: „Ohyda! Ohyda!”, w którym rozpoznajemy nie tylko aluzję do *Jądra ciemności*, ale przede wszystkim alarmujący wgląd w istotę ledwie rozpoczętego stulecia.

Niemniej czy każde, nawet najbardziej przeciętne indywiduum przyczynia się do takiego, a nie innego biegu rzeczy? Czy można mówić o historiotwórczej roli mikroskopijnych zdarzeń, czy raczej machina dziejów podporządkowuje sobie jednostki? Nazwisko bohaterów sagi *Stulecie Winnych* prowokuje – zarówno tam, jak w wypadku *Konstelacji* rodzi się pytanie o fatalną siłę historii oraz możliwość samostanowienia. Reinhart Koselleck w *Semantyce historycznej* przestrzega przed umywaniem rąk: „Ludzie odpowiadają za historie, w które są uwikłani; odpowiadają niezależnie od tego, czy ponoszą winę za skutki własnego postępowania, czy nie. Właśnie za niespójność między zamiarem a efektem ludzie muszą odpowiadać, a to nadaje sentencji o możliwości tworzenia dziejów skrycie prawdziwy sens”.

Ale przecież, nie zdając sobie sprawy z ogółu okoliczności, nie potrafimy przewidzieć wszystkich konsekwencji, choćby dostrzec wartości czegoś, co zostanie docenione przez „późnego wnuka” – tak jak Maria, która z obrzydzeniem umieszcza wśród rupieci swój przerażający portret wykonany przez ekscentrycznego syna Witkiewicza. Albo przeciwnie, stawiamy na złego konia: „Dlaczego [pewien wydawca] się pomylił? Dlaczego nie dotarł do skromnego nauczyciela rysunków z prowincjonalnego miasteczka?”. Bohaterowie nie znają przyszłości, narrator wie o niej *ex post* – o realnej historii, a tym bardziej o losach postaci, którymi sam dyryguje. Podobnie jak protagonista *Punktu obserwacyjnego* spogląda na tych, o których opowiada, z wysokości; tutaj wręcz z wysokości wszechwiedzy, która pozwala mu na antycypowanie („Ostatni raz – Paryż. Czy może przypuszczać, że już nigdy go nie zobaczy?”). Chociaż postacie żywią złudzenia co do autonomiczności własnych decyzji, w szerszym horyzoncie ich ruchy robią wrażenie przypadkowych jak ruchy Browna. Motto powieści mógłby stanowić cytat z *Powrotu*: „Imaginacją jest również nasze istnienie,

nieznajdujące oparcia w jakimkolwiek konkretnym miejscu". Wszak nawet konstelacje na niebie raz po raz opuszcza jakaś spadająca gwiazda. „Ludzie pojawiają się, żyją i znikają”. Czy to memento należałoby wziąć za puentę?

Wydaje się, że Rudowski przeciwstawia mu cztery „M”.

Marzenia. Dlatego czerpie pełnymi garściami z melodramatycznych i sensacyjnych chwytów literatury popularnej (grzeszna miłość przyrodniego rodzeństwa, utrata pamięci, piękne ladacznice, nagłe zaginięcia, a także elementy fantastyki). Przy czym puszcza do nas oko, choćby tytułując jedną z całości: „List – jak w romansidlo – dochodzi po latach”. Literatura popularna, zwierciadło naszych grzesznych i śmiesznych pragnień, kontestuje nieubłaganą rzeczywistość lub przynajmniej ją łagodzi.

Muzykę. Jej znaczenie w *Konstelacjach* jest nie do przecenienia – „jej” czyli jazzu (motyw autobiograficzny), a zwłaszcza muzyki klasycznej. Granie tych „ponadczasowych” utworów, bardziej jeszcze niż słuchanie, staje się imaginacyjnym pomostem do minionego świata (pozornej) harmonii, zapisanego niczym nuty w pamięci.

Miłość. Pomimo kolejnych triumfów Thanatosa Eros nie daje za wygraną. Szczególnie młodzi wbrew kataklizmom myślą: „Jak dobrze byłoby uczestniczyć w nieskończonym ciągu życia”, lecz wszyscy bez wyjątku są spragnieni czułości i bliskości czyjegoś ciała. Mnóstwo w *Konstelacjach* rozmaitych namiętnych związków erotycznych, a narrator lubuje się w rozprawianiu o „archipelagach rozkoszy”. Notabene, niezbyt realistycznie wyglądają – skoro liczy się rzetelność historyczno-obyczajowa – bezpruderyjność, przyzwolenie na romanse oraz uznawanie nieślubnych dzieci, choćby poczętych w warunkach wojennych, Ale też mamy raczej do czynienia z fantazmatem wyzwolonej partnerki, będącej spełnieniem męskich marzeń o ekstazie, nie tylko fizycznej (*vide* etymologia *ekstasis* – 'bycie na zewnątrz siebie'). Jak tłumaczy wprost narrator *Punktu obserwacyjnego*: "Czasami nie ma innej ucieczki niż ta pachnąca skórą kobiety”.

Maszynopis. „A świat, o którym mówi ta kobieta, jest pełen jakiejś niewypowiedzianej udręki”. Świat, o którym mówi Rudowski w *Konstelacjach*, jest pełen zarówno radości, jak i udręki, lecz udręki *wypowiedzianej*. Rękopisy co prawda płoną (genialne wiersze spalone przez służącą), podobnie jak ludzkie gwiazdy w końcu się spalają, aż znikną na widnokręgu, jednak maszynopis może dzięki „późnemu wnukowi” ocaleć. Naiwne to przekonanie i ograny motyw, ale pozwala wciąż wierzyć, że w najgorszym razie sensem historii-dziejów pozostaje historia-opowieść.